

Wielkimi obozami rozłożyły się plemiona izraelskie. Jak daleko sięgnąć okiem, czarno-białe namioty z grubo tkanego płótna ciągną się wzdłuż i wszerz ogromnej piaszczystej pustyni. Zewsząd rozlega się niespokojne parskanie wielbłądów i osłów. Zbyt daleko jednak wzrok nie sięga. Długi szereg wielbłądów, które rozsiadły się ze swoimi rodzinami dookoła namiotów, wznosiły swoimi kopytami tumany kurzu, który zaćmił blask słońca. Widać było tylko kurz, który wydawał się być podobnym do spadającej chmury, w tej chmurze niczym dym nad kotłem wirowali ludzie, wielbłądy i namioty. W samym środku, między obozami, rozciągał się szeroki, ogromny plac. Do tego placu nie dochodziło już parskanie wielbłądów. Tu znajdowały się szersze i większe namioty. Rozbite były według ustalonego porządku. Jeden namiot za drugim. Tu zwierzęta, osły czy wielbłądy nie miały dostępu. Tu powietrze było czystsze i bardziej rześkie. Tu można było widzieć czysty błękit nieba pustynnego. Tu znajdował się namiot sakralny (Ohel moed), tu wznosiły się namioty Mojżesza, Ahrona i naczelników ludu.

Było południe. Panujący upał rozgrzał piasek pustynny. Na rozżarzonym piachu osły nie mogły ustać i podskakiwały wciąż z bólu. Wokół namiotu sakralnego panowała cisza. Żadnego ruchu, żadnego głosu. Kilku Lewitów w białych kitlach, którzy towarzyszyli arce w czasie pochodu siedziało teraz przed namiotem, w którym stał drewniany wóz. Przed namiotem Mojżesza, gdzie zwykle w godzinach rannych i wieczornych roiło się od tłumów, teraz nikogo nie było. Nawet owi dwaj synowie proroków powołani do wysłuchania petentów przed dopuszczeniem ich przed oblicze Mojżesza, znużeni upałem, drzemali. Tylko przed namiotem kapłana Ahrona, stojącym w pobliżu Mojżeszowego, dwóch młodych kapłanów blachami zgarniało piasek. Inny rosły młodzieniec, z bródką porośłą świeżym czarnym włosiem, o czarnych, płomiennych oczach, które jakby z ukrycia wyzierały spod jego białego okrycia na głowie — przelewał oliwę z dzbanu do naczynia, poprawiając jednocześnie przechylony knot wełniany. Był to Pinchas syn Eliezera, najmłodszy wnuk Ahrona, wykonujący swoją świętą pracę przed namiotem sakralnym. Nagle ukazał się pędzący wielkimi susami wielbłąd. Podskakiwał w pędzie po rozgrzanym piasku pustyni, boleśnie okładany przez jeźdźcę, który prętem bambusowym zmuszał go do większej szybkości. Wywołało to zdumienie u drzemających kapłanów i lewitów, którzy siedzieli przed bogato zdobionymi namionami. W obawie, żeby jeździec w zapomnieniu nie wjechał na swoim zwierzęciu do zabronionej strefy namiotu (byłoby to profanacją świętego miejsca, na którym mieścił się przybytek sakralny) zerwali się i wybiegli naprzeciw, aby go zatrzymać. Okazało się jednak, że jeździec wiedział, jak uszanować święte miejsce, zanim bowiem wkroczył w zastrzeżoną strefę namiotu, zeskoczył ze swego zmęczonego wielbłąda i zakasawszy poły swego kitla, które plątały mu się między nogami, podbiegł po gorącym piasku do kapłanów. Przyniósł najważniejszą nowinę. Oto zwiadowcy, których wysłano do ziemi kanaanejskiej dla rozpoznania tego kraju są już przed namiotami ludu i wnet zjawiają się przed obliczem Mojżesza i Ahrona.

I jakby ją słoneczne promienie rozniosły po całej pustyni, tak wieść dotarła do wszystkich. Wdarła się do wszystkich obozów rozbitych na ogromnej przestrzeni. I ze wszystkich stron zaczęły nadciągać tłumy. Istny potok ludzi wypłynął ze wszystkich namiotów i ze wszystkich kierunków. Niektórzy przy-cwałowali na osłach, inni na wielbłądach. Wszyscy zaś zatrzymali swoje zwierzęta przed nieprzekraczalną strefą sakralnego namiotu. Byli i tacy, którzy podnosząc poły swoich długich kitli, przybiegali tu na piechotę. Starcy oraz ślepcy przybyli tu prowadzeni za ręce przez swoje dzieci. Młodzież napierała na namioty. Wielki plac przed namiotem w mig wypełnił się tłumem. Zakurzyło się i zakotłowało. Powstał wrzask. Odgłosy kroków mieszały się z okrzykami wzburzenia i wyzwiskami, którymi ludzie nawzajem się obrzucali.

Lewici wynieśli z sakralnego namiotu wóz. Był wykonany z białego drzewa. Koła również były z drzewa. Na wozie stała czworokątna skrzynia. Samej skrzyni nie było widać. Pokryta bowiem była grubą niebieską tkaniną, spod której wystawały cztery drągi. Przed wozem zgromadzili się kapłani i Lewici w swoich uroczystych białych szatach, dzierżąc w ręku naczynia liturgiczne. Niektórzy trzymali srebrne patelnie, od których odbijał się blask słońca. Z patelni unosił się wonny dymek tłącego się kadzidła. Inni mieli w rękach złote dzbany. W rękach najmłodszych spoczywały czarne, długie, kręcone rogi jelenie i baranie. Przystawiali je do ust i dmuchali. Niektórzy Lewici dęli w srebrne rury, a wydobyte z nich dźwięki ginęły w pustynnej dali. Cały koczujący lud czekał aż Mojżesz i Ahron wyjdą ze swoich namiotów.

I wkrótce Ahron ukazał się. Był to starzec wysokiego wzrostu o białej długiej brodzie. Czoło miał opasane, złotą blachą, niby koroną. Błyszczało na niej imię Jehowy. Wyszczona była drogimi kamieniami. Również biała koszula na piersi wyszczona była szlachetnymi kamieniami w kształcie liter oznaczających nazwę każdego plemienia. Nagle tłum zagrzmiął potężnym wiwatem.

Biała dzika pustynia, jakby rażona piorunem, zadrżała i rozkołysała się. W drzwiach namiotu pojawił się Mojżesz.

Był niższy od Ahrona i starszy. Bez żadnych prawie ozdób na sukni. Ten sam, jak u wszystkich biały kitel, okrywający bosc nogi i biała, wpleciona sznurkiem we włosy, chusta na głowie,

SDadająca na suknię. Ta jednak była czystsza od sukien noszonych przez lud. Rzuciła się w oczy jej nieskazitelna biel. Spod białej chusty na głowie wзираła twarz obramowana białą. krótką bródką. Przy każdym oddechu unosiła się i opadała. Również chusta przy oddechu ślizgała się w górę, odsłaniając pojedyncze białe włosy na wysokim czole. Twarz jego była opalona i starcza, smutna, żałobna zmarszczka rysowała się dookoła jego miękkich, dziecięcych warg. Tylko oczy były młode. Dwa czarne, błyszczące punkciki i dwa duże wypukłe, żyłkami pocięte białka. Wyglądały, jakby kąpały się stale w mokrych, łzawych rzeczulkach, wypływających ze zwisających pod nimi torebek. Śmiałym wzrokiem patrzył przed siebie, a jego nieskrępowane spojrzenie onieśmiewało każdego człowieka, który chciał zajrzeć w świętość jego oblicza. Szedł mocnym i szybkim krokiem, a tłum rozstępował się, zwierając szeregi. Robił mu drogę i uważał, aby tylko nie zaczepić o jego suknię. Smutek malował się na jego twarzy. W milczeniu stanął obok swego brata Ahrona. Tłum natychmiast uspokoił się. Zaczęto rozmawiać szeptem, aby zaraz zaniemówić. Oczy wszystkich czujnie wpatrywały się w jego białą suknię... Przejęci świętą ciszą czekali na to, co miało się wydarzyć. Nagle z daleka ujrzeni, jak podnosi się do góry kurz wzniecony nogami piechurów. Kurz wyprzedzający maszerujących, raptem rozpadł się na szereg pojedynczych brył pyłowych. Z nich wyłoniło się 12 mężów. Młodych, silnych, zakurzonych od stóp do głów. Szli gęsiego. Jeden za drugim. Pierwszy — młody, wysoki, lat dwudziestu kilku. Twarz miał opaloną. Okalała ją gęsta czarna broda. Oczy ogromne, pełne ognia. Nosił na ramieniu jakiś niezwykły, nienaturalny owoc w kształcie daktyla. Za nim postępowało dwóch podobnych do niego młodzieńców. Silni, z czarnymi brodami i płonącymi oczyma. Na ramionach gruby kij, na którym zwiisała niezwykła, ogromna kiść winogron. Pod jej ciężarem uginały się krzepkie i dumne ciała niosących. W taki sposób dwunastu mężów dźwigało jeden po drugim różne owoce. Obnosili te owoce przed zgromadzonym tłumem, który ścieśniał się coraz bardziej, robiąc miejsce dla nich. Ogromne morze głów. Wszyscy stali w skupieniu i ciszy i z podziwem oglądali te duże i niezwykłe owoce. W oczach zgromadzonych była powaga i podziw, które zakneblowały im usta. Byli świadkami najprawdziwszego cudu.

Mężowie, nim podeszli do Mojżesza, pokazali te owoce ludowi. Złożyli je u jego stóp i najstarszy z dwunastu owych mężów, chłop około czterdziestki, o potężnych bicepsach i potężnej głowie przemówił poważnym i mocnym głosem. A jego głos odbił się niczym, piorun potężnym echem i rozszedł się ponad głowami zebranego ludu:

— Mojżeszu, panie mój. Oto są owoce z kraju Kanaan, do którego wysłałeś nas na rozpoznanie.

Mojżesz lekko schylił głowę i skierował swoje spojrzenie ku Ahronowi:

— Połóż te owoce przed Arką Boga.

Ahron delikatnym spojrzeniem objął dwunastu swoich młodych kapłanów, a ci wzięli owoce w takiej samej kolejności, w jakiej mężowie je nosili. I Ahron szedł na ich czele. I zanieśli owoce przed Arkę. I stanął przed nią Ahron i odmówił cichą modlitwę.

W tym czasie, gdy Ahron odmawiał modlitwę, lud stał nie-poruszony. Wszyscy z pochylonymi ku ziemi głowami, skupili się i pograżyli w cichym pobożnym milczeniu.

A gdy Ahron wyszedł z Sakralnego Namiotu, Mojżesz zapytał tych dwunastu mężów, którzy stali przy nim:

— Czy widzieliście również mężów kraju Kanaan? Jak oni wyglądają?

— Tak jak ich owoce, tacy są mężowie w kraju Kanaan. To olbrzymy.

Nad morzem głów powstał szum. Zdawało się, że oto szum podniósł głowy zgromadzonych ludzi, tak jak wiatr podnosi fale. Na razie jednak lud milczał. Przysłuchiwał się z zapartym oddechem.

— Nasz Bóg jest mocarny, a słowo jego — prawda. Bardziej prawdziwe, niż prawa natury. I spełni on obietnicę daną Abrahamowi, Izaakowi i Jakubowi. A jeśli lud Kanaan to olbrzymy, to wobec woli Jehowy będą jak słoma wobec ognia. I tak, jak morze walczyło za nas z Egipcjanami, tak wiatr burzliwy będzie za nas walczył z Kanaańczykami. Jeśli tylko Bóg zechce — powiedział Mojżesz cicho i poważnie.

— Jak mole wobec słoni, tak wyglądaliśmy wobec nich. Nie sięgaliśmy im do kolan — odezwał się cichym głosem inny zwiadowca. Był to Pałti, syn Rafoa — wysłany przez plemię Benjamina.

Amalekici siedzą w warownych miastach, zaś Chetyci i Amorejczycy rozlokowali się w wysokich górach. Za nimi dopiero znajdują się Kanaanejczycy. Zamieszkują tereny leżące od brzegów Jordanu, aż po morze. Do nich nikt nie może dotrzeć — wtrąca Igael syn Józefa, wysłannik plemienia Issachar. Kto ośmieli się toczyć wojnę z Kanaanijczykami? To lud olbrzymów — odezwali się pozostali wysłannicy.

Morze ludzkich głów zaszumiało. Był to cichy i nieco smutny szum. Taki, jaki powstaje przed burzą na morzu. Tu i ówdzie ponad głowami tłumów wyrastały twarze ludzi, którzy zżywieniem i z pasją, wymachując rękami, zwracali się słowami do ludu. Zniknęła gdzieś święta cisza pobożnej powagi, która ogarnęła ludzi w momencie wyjścia Mojżesza z namiotu. Tłum wystąpił ze zwartych i uporządkowanych szeregów. Coraz bardziej przybliżał się do wysłanników. Tu i ówdzie potworzyły się poszczególne grupy. Pojawiły się rozgorączkowane twarze, płonące oczy, czarne rozwiane brody. Rozpromienione drżące ręce unosiły się, niczym skrzydła, nad głowami zgromadzonego tłumy. Zewsząd rozlegał się szept podobny do śpiewu fal kołysanych przez wiatr, nim je wyleje na brzeg...

Mojżesz, trwał w milczeniu i powadze. Przeniósł swój wzrok z wysłanników na tłum. Widział, jak tłum zaczyna się poruszać. Zadumał się.

Nagle dwaj młodzi wysłannicy, którzy nosili na swoich barkach kiść winogron, wysunęli się do przodu. Byli to: Kelew, syn Jefuny i Jozue, syn Nuna. Obydwaj należeli do nobliwych rodów Jehudy i Efraima. Byli bardzo młodzi. Kelew zbłądł, gdy usłyszał słowa zwiadowców. Był pierwszy, który podszedł blisko do Mojżesza. Spojrzał na zwiadowców i rzekł:

— Mojżeszu, panie mój! Ci ludzie nie mówią prawdy. Ludzie Kanaanu nie są wcale olbrzymami. Są tacy sami jak my. W ich oczach myśmy wyglądali na olbrzymów. A gdy usłyszeli, że jesteśmy dziećmi Izraela, które Bóg wyprowadził z Egiptu, ogarnął ich strach i popłoch.

— Sława Boga kroczy przed nami niczym słup ognisty i przejmuje przerażeniem ludy. Ich serca drżą na nasz widok — powiedział Jozue, syn Nuna. Był młodszy od swego kolegi. Prowadź nas Mojżeszu przeciwko ludom ziemi Kanaan. Ogarnął ich strach przed Bogiem i to nam ułatwi zwycięstwo.

Mojżesz jednak milczał. Nie słyszał słów wysłanników. Otworzył oczy i wzrokiem ogarnął cały

zgromadzony tłum. który skupił się tutaj. Dochodził do niego cichy pomruk i szept zgromadzonych. Doskonale go rozumiał. Wiedział, co oznacza ten pomruk. Znał swój naród i zdawał sobie sprawę, że słowa wysłanników wywołały strach u tych, dopiero od niedawna wyzwolonych niewolników. Wiedział, że nie dochodzą już do nich słowa zwiadowców Kełewa, syna Jefuny i Jozuego, syna Nuna. Cichy pomruk staje się z każdą chwilą coraz bardziej głośny. Ludzie zupełnie zapomnieli, że Arka jest przed nimi i Mojżesz jest wśród nich...

Podniósł oczy i rozejrzał się. Zdawało się, że chce coś powiedzieć. Tłum zamilkł, ale Mojżesz nie wyrzekł słowa. W jego oczach snuł się cichy smutek, a włosy jego brody podniosły się wskutek gwałtownych ruchów jego piersi.

Lud jeszcze czekał z głową pochyloną ku ziemi. Cekał na słowa Mojżesza. Ten nagle się odwrócił i nie wyrzekłszy słowa, i nie obdarzywszy spojrzeniem zwiadowców, szybkim i zdecydowanym krokiem, z głową pochyloną ku ziemi, wrócił do swego namiotu.

Lud stał wciąż przykuty do swego miejsca i śledził go wzrokiem.

Gdy Mojżesz zniknął w swoim namiocie, zgromadzony lud jeszcze bardziej uległ niepokojowi. Zwiadowcy mieszałi się z tłumem i opowiadali szczegółowo o krajach przez nich rozpoznanych. Wnet zaczęły krążyć rozmaite legendy. W jednej grupie opowiadano, że owoce przyniesione przez zwiadowców nie są ludzkie. Są zatrute i tylko olbrzymy mogą je spożywać. Zwykli ludzie natychmiast po ich spożyciu umierają. W innej znów grupie opowiadano, że straszliwi giganci, panoszący się w Górach Moabu, są tak wysocy, że głową sięgają chmur. Jednym krokiem pokonują milę. Są w stanie zatrzymać w swoich ramionach wiatr. Strzałami z łuków potrafią zestrzelić gwiazdy z nieba. Te wszystkie legendy rzuciły strach na zgromadzony lud. A strach, niczym zaraza, dotknął wszystkich. Wtem rozległ się głos pewnego wysokiego Żyda, który oskarżał Mojżesza o to, że niepotrzebnie wyprowadził ich z Egiptu. Nie było na świecie nigdy żadnego Abrahama, Izaaka i Jakuba. Wszystko to wymyślił Mojżesz. Na próżno biegali od grupy do grupy Kełew, syn Jefuny i Jozue, syn Nuna, i starali się uspokoić lud. Opowiadali mu o urodzajnym kraju, o jego rzekach i wodach, i o strachu, jaki ogarnął zamieszkujące go ludy na wieść o cudach uczynionych przez Boga Izraela, i o wielkiej sile Mojżesza. Lud jednak nie słuchał ich. Odpędzał od siebie: „Posłuchajcie no, on chce nas wysłać przeciw olbrzymom. A jaką zapłatę obiecał wam Mojżesz? Na czele jakiego plemienia postawi was?”

A pomruk i strach, który ogarnął zgromadzonych, coraz bardziej rósł. Nikt nie wrócił do swego

namiotu. Rozłożyli się pokotem na ziemi pustynnej. Dookoła siebie mieli tylko dziką i gołą ziemię. Żadnej zieleni i żadnej nadziei. W mig utracili wiarę w Boga i Mojżesza. Poczuli się zawiedzeni. Oto wyprowadzeni zostali na dziką pustynię, aby tu wraz z żonami i dziećmi zginąć z głodu i pragnienia. I nagle w jakimś kącie rozległ się płacz i jak zaraza ogarnął wszystkich. Powstał lament. Tu i tam rozległy się okrzyki:

— Chodźmy do Mojżesza! Chodźmy do Mojżesza! Niech nas z powrotem zaprowadzi do Egiptu. Po co nas stamtąd wyciągnął?

Przy ogrodzeniu oddzielającym strefę namiotu sakralnego stali najsilniejsi kapłani, lewici i synowie Jehudy. Przy pomocy kijów bambusowych odpędzali rozgoryczonych Żydów, którzy siłą chcieli wdrzeć się do namiotu Mojżesza.

Zapadła noc. Ogromne gwiazdy wisiały nisko nad błękitnym i czystym niebem pustyni. Mojżesz wyszedł ze swego namiotu i wpatrywał się w te ogromne i głębokie zarazem gwiazdy. Dalekim echem odbijał się pomruk ludu. Zapalone ogniska buchające z różnych stron, mówiły mu, że lud nie wrócił do swoich namiotów, że czuwa, że szykuje się do czegoś. Poczł na swoich wargach smak rosy pustynnej, którą przyniósł wiatr od morza, i która jest zdolna zaspokoić głód. Łaska Boga jeszcze nie ustała. Bóg jeszcze zsyła żywność — pomyślał i ucieszył się. Smutek jednak nie ustąpił. Przygnębienie! go. Wpatrywał się w gwiazdy, jakby od nich oczekiwał wskazówek, jak ma postąpić.

Nastawił uszy. Wiatr przynosił tu na swoich skrzydłach skargę narodu. Samotne głosy płaczących na bezbronnej pustyni napawały strachem. Rodziły w sercach rozpacz. Mojżesz jeszcze bardziej posmutniał. Powoli zaczął pojmować, że z nimi nie odzyska ziemi kanaanejskiej, nie odzyska kraju ojców Abrahama, Izaaka i Jakuba. Po raz pierwszy nawiedziła go myśl, że zbyt długo dzieci Izraela przebywały jako niewolnicy w Egipcie. I nic nie pomogło. Na nic były wszystkie wielkie rzeczy, które się wydarzyły. Ani to, że uwolnił ich i wyprowadził spod ucisku Faraona, ani to, że gwałtem przeprowadził ich przez morze, ani to że wśród huku piorunów i błysków błyskawic dał im Torę, która jest źródłem poznania prawa i porządku. Daremny trud. Niewolnik nie przestał być niewolnikiem. I gdy tak stoją na skraju pustyni, skąd roztacza się już widok na Ziemię Obiecaną, którą mogą zdobyć siłą, budzi się w nich uśpiony niewolnik. Ożywa lęk przed panem, rodzi się tęsknota za Egiptem. Nie pomogły swobodne i łagodne noce spędzone na pustyni. Owe noce, podczas których opowiadał im o praojcach wolnych i niezależnych. Tuż przed spełnieniem swoich pragnień wolnościowych. pielęgnowanych na przestrzeni setek lat w bólach i mękach, znowu zapragnęli wrócić do stanu niewolniczego. Zamiast siłą i mieczem zdobyć swoją ziemię i wolność, zapragnęli wrócić pod jarzmo niewoli. Po raz pierwszy zwątpił w naród, który wyzwolił. Nie zwątpił, gdy chodziło o

złotego cielca, czy złotego węża, którym zaczęli cześć boską oddawać. Wtedy miał zrozumienie dla ich słabości. Nie było go wtedy wśród nich. Pozostawieni sami sobie na pustyni, bali się po prostu żyć bez Boga i bez przywódcy. Zrobili więc sobie sami Boga. Stworzyli sobie wiarę. Chodziło im o to, aby za wszelką cenę mieć coś takiego, co budzi nadzieję na rychłe osiągnięcie wolności. Wtedy ich rozumiał, ba, kochał ich. Narażał dla nich swoje życie. Całą winę wziął na siebie i dalej wierzył i dalej żywił nadzieję. Teraz jednak, gdy na własne oczy zobaczyli owoce kraju: winogrona, figi, daktyle, migdały, owoce, których nigdy w Egipcie nie widzieli, teraz nie może ich zrozumieć. Widzą, że obiecany kraj istnieje. Widzą, że nikt ich nie oszukał, że prowadził ich słuszną drogą. I oto stoją u granic obiecaney ziemi. Pozostaje im tylko wkroczyć. Strach, który padł na wszystkie ludy Kanaan, pozwala im bez trudu wziąć w posiadanie kraj. Ludy te mają przed sobą naród, który przychodzi z pustyni, aby odebrać ziemię swoich ojców. I oto u kresu drogi, gdy trzeba wykonać ostatni krok, gdy mają zdobyć się na czyn, gdy mają wykazać się odwagą męską, stają się znowu niewolnikami. Ładują na grzbiety wielbłądów swój dobytek i przygotowują się do powrotu do Egiptu. Do tego Egiptu, w którym jako niewolnicy faraonów, budowali miasta Pitom i Ramzes. W ściany tych miast wmurowywali oprawcy egipscy dzieci żydowskie. We krwi córek Izraela kapali się faraonowie. I do tego Egiptu chcą wrócić. Chcą zostać znowu niewolnikami. Na wieki niewolnikami. Bez nadziei na Mojżesza. Bez nadziei na wyzwolenie.

Mózg jego pracował. A może tak uciec od nich? W nocy opuści pustynię. Zabierze ze sobą tablice z przykazaniami, zabierze Drzepisy prawa, które im nadał i samotnie puści się w drogę. Uda się do Itro, swego teścia. Pilnować będzie jego owiec. Dzieci swoje uczyć będzie postępować według oraw nadanych przez Boga narodowi. I niech te dzieci wychowują swoje dzieci w duchu tych oraw. W taki sposób narodzi się nowy naród. Niewolników zaś, których wyprowadził z Egiptu, pozostawi na pustyni. Oczwma wyobraźni widział już, jak nazajutrz budzą się ze snu i mówią: Nie ma Mojżesza. Mojżesz opuścił nas! Nie ma Arki, nie ma tablic, nie ma wodza. Stają się zależni. Każda grupa wybiera sobie starszego. Starsi kłócą się między sobą. Jedni ciągną do Egiptu, inni wolą pozostać na pustyni. Zapasy żywności kończą się. Wielbłądy zdychają. Dzieci umierają. Powoli i stopniowo rozdzielają się, topnieją. Każda grupa w innej części pustyni. Błąkają się i nie znajdują drogi. Nie wiedzą, co mają robić. I coraz bardziej, i coraz więcej piaski pustyni pokrywają się wyschniętymi szkieletami ludzi, osłów i wielbłądów. Wieje wiatr i piasek zasypuje ostatnie ślady po nich i nikt już nie wie, że na pustyni pochowany został cały naród. Tylko od czasu do czasu, jakiś wielbłąd przemierzający pustynię wykopie przypadkowo jakiś wyschnięty szkielet. Ludzki wyschnięty szkielet w płonącym piasku pustyni...

Bolesny grymas wykrzywił mu usta. Ręce drżały. Włosy na brodzie podnosiły się i opadały. Wyprostował się, otworzył swoje ogromne oczy i wbił swój wzrok w niebo. Zdawało mu się, że wzrokiem obejmuje całe ogromne niebo pustyni. Oczyma szukał w głębinach gwiazd drogi. Nie! Wszystko tylko nie to. Jeśli umrzeć na pustyni, to razem z nimi. Jeśli poniewierać się na dzikiej, ogromnej, gołej ziemi, to razem z nimi. Dla siebie samego nie będzie szukał wygodnego wyjścia. Nie ma prawa opuścić ich. Pozostanie z nimi na pustyni do końca. Aż wszyscy wymrą. A może poszczęści mu się i on umrze przed nimi. Nie będzie oglądał ich żalu po straconych

nadziejach. Zaoszczędzony mu będzie widok przejmującego bólu w ich oczach. Czy tak jednak ma być? Czy w taki sposób ma się zakończyć wyjście z Egiptu? Czy nie ma innego wyjścia? Dlaczego tak źle o nich myślał? Dlaczego siedzi przed swoim namiotem, gdy stamtąd dochodzi go krzyk rozpacz i płacz narodu? Dlaczego nie pójdzie do nich, nie pogada z nimi i nie wzmocni ich na duchu? Dlaczego zwątpił? Czy tak postępuje wódz, który wziął na swoje barki naród niewolników? Czy po to ich przeprowadził przez pustynię, aby zginęli?

Postanowił: Pójdzie do ludu i będzie go pocieszał. Będzie przemawiał w imieniu Boga. Przypomni wszystkie cuda, które uczynił. Przypomni Morze Sitowia, górę Synaj. Podniesie ich na duchu i natychmiast, skoro świt, poprowadzi do walki przeciwko wrogowi. Ale zaraz stanął mu przed oczami lud. Słyszał jego pomruk i pomyślał: Co będzie, jeśli już uda mu się wzmocnić go na duchu i poprowadzić do walki przeciwko wrogowi, ale stanąwszy oko w oko z nieprzyjacielem okaże strach? A nuż obudzi się w nich dusza niewolnika i uciekną z powrotem na pustynię, a może do Egiptu. A może poddadzą się, jak te chore psy i błagać będą nowych panów, żeby pozostawili ich przy życiu i przygarnęli jako niewolników. Tak, jak służyli w swoim czasie Egipcjanom, tak będą służyli Kanaanejczykom. A imię Boże wystawione zostanie na pohańbienie i pośmiewisko. I okaże się, że on Mojżesz wyprowadził naród z jednej niewoli i oddał go w drugą niewolę. W niewolę innych panów.

Zatrzymał się w połowie drogi. Rozejrzał się dookoła. Była noc. Z daleka wciąż dochodził tępy pomruk ludu. Przynosił go wiatr, który z tamtej strony dął. Widać było jak na dłoni płomienie buchające z rozpalonych przed namiotami ognisk. Znów wbił swój wzrok w gwiazdy i szukał w nich drogi, wskazówki, jak postępować i dokąd ma iść. Wspomnił swoją młodość, gdy pewnej nocy pasąc owce Itrona, zobaczył płonący krzak ciernisty. Dostrzegł wtedy ową wielką rzecz, owe zadanie, które miał wykonać. I teraz jest noc i te same gwiazdy na niebie świecą. Naród już ma. Jest wokół niego, ale drogi dla niego nie zna. Cel nie jesi dlań jasny. Przejął go wielki ból. Nie o naród. O siebie, o swoje życie. Powoli skierował się z powrotem do swego namiotu. Głowę pochylił mocno ku ziemi. Stanął przed namiotem. W czarnym, dużym namiocie płonął znicz. Jego tajemniczy, skąpy płomień widać było z zewnątrz. Przypomnił sobie, że tam. w środku — w skrzyni — leżą kamienne tablice, na których wyryte są przykazania. Uczą one, jak trzeba żyć. On zaś potrzebuje narodu, który by te przykazania wcielił w życie. I nie tylko sam żył według nich. Ma je krzewić i przekazywać następnym pokoleniom, całemu światu. żeby ludzie służyli słusznej sprawie, do której są powołani. I właśnie dzięki tym tablicom wyzwolił naród. A teraz, gdy naród zginie na pustyni, kto poniesie kamienne tablice. Kto przekaże je ludziom, kto przekaże

następnym pokoleniom? Tak jak i naród wsiąknął tablice w piasek pustynny, a ludzie będą się błakali po świecie, jak dzikie zwierzęta. I przez całe swoje życie nie będą wiedzieli po co żyją.

Opowieść biblijna o Mojżeszu

Wpisany przez rb. Aron Baranowski

Czwartek, 21 Marzec 2013 13:33 - Zmieniony Wtorek, 26 Marzec 2013 09:41

Położył się na piasku przed namiotem Arki. Twarz zatopił w dłoniach. W sercu tliła się modlitwa. Nie do Arki. Nie do tablic. Była to modlitwa ponad nimi. One są równie jak on bezradne. Podniósł oczy i ręce do nieba. Tam szukał ratunku.

Tak przeleżał spory kawał czasu. Nagle ktoś podkradł się do niego cichuteńko. Usiadł przy nim i czekał. Wreszcie cichym głosem odezwał się.

— Mojżeszu! Panie mój!

Mojżesz ocknął się. Rozejrzał się. Chciał zobaczyć tego, który go zawołał. Przy świetle gwiazd dostrzegł obok siebie młodzieńca o czarnej brodzie.

— Panie mój, Mojżeszu! Rozkaż, a zabiję tych zwiadowców. Wydadź polecenie, a ja poprowadzę naród do walki przeciwko Kanaanejczykom.

Mojżesz zajrzał mu w twarz. Oczy młodego człowieka płonęły niczym znicz w namiocie sakralnym. Na głowie miał białą chustę, która jeszcze bardziej podkreślała blask jego oczu. Poznał go. To był Jozue, syn Nuna.

— Skąd przychodzisz?

— Przychodzę od nich — ręką wskazał płonące ogniska. Płaczą. Niewolnicy Egiptu.

— A ty kto jesteś?

— Jam Jozue, syn Nuna. Ja oraz Kelew, syn Jefuny, zebraliśmy tysiąc młodych ludzi. Każdy z nich potrafi udźwignąć miecz w rękę. Rozkaż, panie mój, Mojżeszu, a natychmiast pójdę z moimi ludźmi do nich, do zgromadzonego na pustyni ludu i zadepczę przywódców spisku,

zwiadowców. Różgami popędzę ich przeciw Kanaanowi.

Mojżesz milczał. Oczy podniósł ku niebu. Coś tam w sercu i w głowie zaświtało mu. Cichym głosem odpowiedział:

— Ta ręka, która wyryła przykazania, nie wyciągnie miecza.

— Ależ panie mój, naród chce powrócić do Egiptu. Ludzie tak mówią: Wybierzmy starszego i wracajmy do Egiptu!

Mojżesz milczał.

— Panie mój. Mojżeszu! Do Egiptu nie powrócimy — Jozue powiedział to w sposób twardy i gwałtowny — Raczej zginąć na pustyni, aniżeli znowu stać się niewolnikami. Nastawię tak moich ludzi, aby zabili każdego, który ośmieli się wejść na drogę prowadzącą z powrotem do Egiptu.

— A jeśli ja stanę na czele i poprowadzę ich z powrotem do Egiptu? Co wtedy? — zapytał Mojżesz.

— Mój miecz zagrozi ci drogę.

— Podniesiesz rękę na Mojżesza, na twego nauczyciela?

— Na każdego, który wstąpi na drogę prowadzącą do Egiptu.

W oczach Mojżesza pojawił się promienny błysk. Twarz zajaśniała radością. Serce doznało ukojenia. Złapał młodzieńca za głowę, przechylił ją i skierował jego oczy ku gwiazdom. Sam też przenikliwie wpatrywał się w nie.

— Kto ty jesteś?

— Jozue, syn Nuna, z plemienia Efraim.

— Czy w twoim pleminiu znajdzie się więcej podobnych do ciebie?

— Całe młode pokolenie. Pokolenie wyrosło pod działaniem twoich słów, które głosiłeś od momentu przybycia do Egiptu, aby wyzwolić nas. To całe pokolenie myśli i czuje, tak jak ja.

— Jozue, wracaj do ludu! Zaraz i ja tam będę.

- Mojżesz podniósł się ze swego miejsca i szybkim krokiem skierował się do namiotu Ahrona. Jakaś myśl zaświtała w jego głowie. Drugie, następne pokolenie! To pokolenie, które wyrosło w nadziei na wyzwolenie. Ono stanowi naród, który wyzwolił. Ludzie tego pokolenia będą w stanie odebrać Kanaan i przepędzić jego mieszkańców. Niewolnicy muszą wyrzucić na pustyni. Tak długo będzie musiał prowadzić ich po pustyni, aż nie pozostanie ślad po starym pokoleniu. Po tym pokoleniu, które własnymi rękami taszczyło cegły na budowę Pitom i Ramzes. Ludzie tego pokolenia muszą umrzeć na pustyni, gdyby to nawet miało trwać lat kilkadziesiąt.

Zatrzymał się. Przypomniawszy sobie własną starość. I ogarnęła go litość nad samym sobą. A on sam? Co z nim będzie? Czyż nie żywił nadziei przez całe swoje życie, że wprowadzi Żydów do Ziemi Obiecanej? Czyż nie marzył o tym, aby na tej Ziemi Obiecanej przeżyć swoją starość wśród ludu? Czyż nie chciał, po śmierci, być pochowanym w tej ziemi, w grobowcu Abrahama, Izaaka i Jakuba? Czyż nie był to jego wyśniony sen? Pasja całego jego życia? Już wtedy, gdy wypasał stada Itrona, widział siebie na czele wyzwolonego narodu, który on wprowadza do Ziemi Obiecanej. A teraz widzi, jak on sam, leży pospołu z narodem pochowany w piaskach pustyni i inny przywódca wprowadza nowe pokolenie do wyśnionego kraju.

Trwało to jednak sekundę. I litość nad samym sobą szybko minęła. Przypomnił sobie tablice leżące na Arce. Dla nich potrzebny jest naród. Potrzebny jest naród, który będzie przestrzegał ich przykazań. Naród, który z pokolenia na pokolenie będzie przekazywał ich treść. To było jego celem i zadaniem. Przyspieszył kroku. Podeszedł do namiotu Ahrona i zawołał:

— Chodź do narodu!

— Co chcesz zrobić Mojżeszu?

— Usłyszysz moje słowa.

Natychmiast lewici zatrąbili w srebrne trąby i rogi. Kapłani wystąpili ze swoimi naczyniami liturgicznymi. Lewici wynieśli skrzynię sakralną. Ze wszystkich stron przybiegli ludzie. Chcieli usłyszeć, co Mojżesz ma im do powiedzenia. Na skraju nieba wyłoniła się z mroku jutrzienka. Oblała swoimi pierwszymi promieniami piaski pustyni. Co chwila odsłaniały się coraz to inne obszary nieba i przestrzenie pustynne, oblane jasnym światłem. Wyraźnie już widać było namioty, wielbłądy, wzgórza, pagórki i doliny. A naród płynął potokiem ze wszystkich stron.

Kiedy plac dookoła namiotu wypełnił się już po brzegi, wyszedł Mojżesz. Oczy mu płonęły i głos miał mocny. Zwrócił się do starszych zgromadzenia:

Wstąpcie wraz ze mną na górę. Pokażę wam kraj, który Bóg przyobiecał Abrahamowi, Izaakowi i Jakubowi!

Z szeregów wystąpili starsi i najstarsi ze wszystkich plemion. Mojżesz szedł z przodu. Za nim Ahron, a za nimi najstarsi z plemion. Dopiero za nimi lud. W jednej chwili biel kitlów pokryła górę.

Z daleka, spod zwisającego obłoku, rysował się skraj zielonego, dobrze uprawianego kraju. Rozciągał się po wzgórzach i dolinach. Wśród zielonych gór wiła się i snuła, jak sen, woda.

Gołym okiem widać było wyraźnie te urodzajne wzgórza obsypane drzewami.

— Patrzcie! To jest kraj Kanaan, który Bóg przyobiecał waszym przodkom, Abrahamowi, Izaakowi i Jakubowi. Stoimy na jego skraju. Pięć dni marszu i staniemy u jego granic.

Lud patrzył na niego ze zdumieniem.

— My jednak tam nie pójdziemy — powiedział Mojżesz. — Wy wszyscy, którzyście służyli faraonowi, nie wejdziecie do tego kraju. Również do Egiptu nie powrócicie. Nie przez wzgląd na was, ale przez wzgląd na Boga, którego imię wystawione byłoby na pośmiewisko oraz przez wzgląd na przykazania, które nam dał. Oświadczam, że każdego, kto ośmieli się ruszyć z powrotem do Egiptu, spotka śmierć. W pustyni pozostaniecie na przeciąg czterdziestu lat, aż do chwili, gdy umrze ostatni niewolnik, gdy nie pozostanie po was żaden ślad. Wasze dzieci wejdą do tego kraju. One będą toczyć wojnę z Kanaanem.

Zaległa śmiertelna cisza. Objęła starszyznę i cały lud. Wszyscy tkwili na swoich miejscach bez ruchu, z głowami pochylonymi ku ziemi. W skupieniu słuchali karzących słów Mojżesza. Tylko Ahron odezwał się szeptem:

— Mojżeszu, a co będzie z nami?

— Umrzemy tak jak oni, na pustyni. Należymy do tego samego pokolenia. Jozue, syn Nuna, zaprowadzi młodych do kraju Kanaan.

I Ahron również opuścił głowę ku ziemi, i zamilkł w głębokiej zadumie.

Wnet jednak rozległ się płacz starszyny. Starsi podeszli do niego i rzucili się do jego stóp. Wyciągnęli ręce i powiedzieli:

— Mojżeszu, Mojżeszu, zgrzeszyliśmy!

Płacz ogarnął cały zgromadzony tłum. Ze wszystkich stron dochodził krzyk:

— Mojżeszu, Mojżeszu, zgrzeszyliśmy. Prowadź nas do walki przeciwko wrogowi. Zwyciężymy go!

— Niewolnicy nie mogą zwyciężyć. Niewolników nie prowadzi się do walki. Gotowi jesteście uciec z pola walki. Musimy poczekać na młode pokolenie. Jozue, synu Nuna! Kelew, synu Jefuny!

Obaj młodzieńcy wyskoczyli z tłumu, jak dwa dzikie lwy. Stanęli przed obliczem Mojżesza w postawie pełnej posłuszeństwa:

— Panie nasz, Mojżeszu! Jesteśmy gotowi.

— Zaprowadźcie lud w głąb pustyni! — Mojżesz wydał ten rozkaz z całą siłą i mocą.

Natychmiast z gęstwy tłumu wystąpiło tysiąc młodzieńców z mieczami i pałkami bambusowymi w rękę. Spędzili lud z góry na pustynię.

Z daleka dochodziły już metaliczne dźwięki srebrnych rogów i rur. Arka — skrzynia z tablicami ruszyła z miejsca.

Opowieść biblijna o Mojżeszu

Wpisany przez rb. Aron Baranowski

Czwartek, 21 Marzec 2013 13:33 - Zmieniony Wtorek, 26 Marzec 2013 09:41

Tęsknym wzrokiem wpatrywał się lud w skraj nieba, na którym zieleni lądu obiecanego podobna była do brzegu nad morzem.

rb. Aron Baranowski, Floryda